



■ „On the right side of history”. Wizyta Baracka Obamy w Niemczech

Jadwiga Kiwerska

Niemcy odgrywają w amerykańskich kalkulacjach politycznych rolę wyjątkową. Potwierdzeniem tego była ostatnia wizyta prezydenta Baracka Obamy w Niemczech (23-24.04.2016 r.). Pokazała ona, że administracja amerykańska - nie bez racji - postrzega Niemcy jako lidera na europejskiej scenie gospodarczej i politycznej, a z kanclerz Angelą Merkel wiąże nadzieje na skuteczność w przewyciężeniu wyzwań, jakie stoją nie tylko przed Niemcami, ale i przed całą Unią Europejską.

Takie podejście do Niemiec nie jest czymś nowym, ale już wcześniej dostrzegalnym efektem ewolucji w relacjach amerykańsko-niemieckich. Znaleźliśmy się bardzo daleko od tej formuły, która obowiązywała w okresie zimnej wojny, gdy to Ameryka pełniła rolę patrona i gwaranta bezpieczeństwa Niemiec Zachodnich, a Bonn - w pełni lojalnego i oddanego jej sojusznika. Dla okresu pozimnowojennego symboliczne znaczenie miała propozycja George'a H. W. Busha z 1989 r. o „partnerstwie w przywództwie” (*partners in leadership*). Kolejni przywódcy amerykańscy konsekwentnie i przy różnych okazjach powracali do koncepcji uczynienia ze zjednoczonych Niemiec ważnego partnera na arenie międzynarodowej, gotowego podejmować zobowiązania czy to w zakresie bezpieczeństwa, polityki, czy natury gospodarczej, odpowiadające ich potencjałowi i pozycji.

Podobne podejście prezentował niemal od początku swego urzędowania prezydent Obama. Wiązało się to zresztą z generalną linią postępowania jego administracji wobec Europy. Licząc na większe zaangażowanie partnerów europejskich w rozwiązywaniu kluczowych problemów na arenie światowej i poniekąd od tego uzależniając stopień zainteresowania Starym Światem,

Redakcja:

Radosław Grodzki

Jacek Kubera

(redaktor naczelny)

Piotr Kubiak

Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 238/2016

02.05.16

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

administracja Obamy sądziła, że Niemcy będą właśnie takim inicjatorem i motorem rosnącej aktywności Unii Europejskiej wobec różnych problemów i wyzwań współczesności.

Stąd wiele kurtuazyjnych, ale i ważnych gestów pod adresem kanclerz Merkel, mimo że to właśnie z jej strony Obamę spotkał afront - gdy jeszcze jako ubiegający się o prezydenturę kandydat Partii Demokratycznej przybył w lipcu 2008 r. do Berlina, szefowa niemieckiego rządu nie zgodziła się, aby wystąpił z przemówieniem przed symboliczną Bramą Brandenburską, zarezerwowaną tylko na wyjątkowe okazje. Mając jednak świadomość, że RFN dysponuje zbyt poważnymi atutami, aby można to było zignorować, prezydent Obama traktował Merkel wyjątkowo. W listopadzie 2009 r. wystąpiła ona przed połączonymi izbami Kongresu (jako dopiero drugi po Konradzie Adenauerze kanclerz), a w czerwcu 2011 r. uczestniczyła w specjalnie dla niej wydanym *State dinner* w Białym Domu (ostatnim tak uhonorowanym gościem z Niemiec był prezydent Richard von Weizsäcker w 1992 r.). Zaś w czerwcu 2013 r. prezydent Obama, tak jak wcześniej John F. Kennedy w 1963 r. i Ronald Reagan w 1987 r., wystąpił przed Bramą Brandenburską z kolejnym głośnym apelem o denuklearyzację świata.

Wprawdzie wiele z pokładanych w Niemcach nadziei nie zostało spełnionych. Podobnie zresztą, jak rozczarowujące dla administracji Obamy - zwłaszcza w okresie jego pierwszej kadencji - mogło być działanie Unii Europejskiej. Z perspektywy amerykańskiej pozostała ona tworem mało koherentnym, niezdecydowanym i zbyt asertywnym. Nie stała się strategicznym aktorem na arenie międzynarodowej, przejmującym więcej obowiązków i odpowiedzialności, na co bardzo liczył Biały Dom. Stąd m.in. głośny „zwrot ku Pacyfikowi” jako w pewnym stopniu efekt rozczarowania Europą, a nie tylko rosnącej potęgi Chin. Także Niemcy nie stworzyły impulsu, który aktywizowałby Europę do działania. Co więcej, gdy NATO interweniowało w Libii na wiosnę 2011 r., RFN nie tylko nie uczestniczyła w tej akcji, ale nawet nie poparła jej w Radzie Bezpieczeństwa. Zaś w 2013 r. wzajemne stosunki nadwerżyły informacje o amerykańskiej inwigilacji polityków niemieckich, m.in. kanclerz Merkel.

Dynamizm wydarzeń na arenie międzynarodowej, w tym wzrost agresywnych tendencji w polityce Rosji i kryzys na Ukrainie, a także wzmożone zagrożenie terroryzmem spod znaku „Państwa Islamskiego” wymusiły na administracji Obamy zwrócenie się ku Europie. Dzisiaj znowu Niemcy znalazły się w centrum tego zainteresowania, przede wszystkim jako główny europejski gracz oraz ważny partner dla Ameryki.

Oczywiście trudno pominąć znaczenie i spektakularność wizyty prezydenta Obamy na Wyspach Brytyjskich, zwłaszcza jego gorące apele o pozostanie Zjednoczonego Królestwa w zjednoczonej Europie. Być może argumenty amerykańskiego prezydenta, że ewentualny *Brexit* wpłynie na relacje handlowe między USA a Wielką Brytanią, będą ważyły na wyniku referendum i Brytyjczycy w Unii Europejskiej pozostaną. Choć trudno też wykluczyć efekt zupełnie odwrotny. W każdym razie będzie to ogromnie istotne dla przyszłości Unii Europejskiej. Włączenie się prezydenta Stanów Zjednoczonych w ten - wydawałoby się - tak bardzo europejski problem ma swoją wartość, dowodząc jednoznacznie wagi więzi transatlantyckich. Ale też - pomimo poprzedniego sceptycyzmu - znaczenia, jakie USA wiążą z Unią Europejską.

Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie pobyt w Hanowerze dowiódł wagi, jaką amerykański prezydent przywiązuje do Niemiec, a także jego szczególnych więzi z kanclerz Merkel. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że uważa ją przynajmniej za pierwszą spośród przywódców europejskich, jest też pewny, że może jej ufać („You have been a trusted partner throughout my entire presidency”). I chociaż nie można nie dostrzec kurtuazyjnego charakteru wizyty w Niemczech, najprawdopodobniej ostatniej i dlatego pożegnalnej dla kończącej swą drugą kadencję prezydenta, to miała ona też konkretny i znaczący dla interesów obojga przywódców wymiar.

Trudno przecież o większe wyrazy uznania dla szefowej niemieckiego rządu, znajdującej się pod tak ostrym ostrzałem społecznej i politycznej krytyki, niż słowa Obamy, że otwierając Niemcy dla bezprecedensowej fali uchodźców znalazła się ona „po właściwej stronie historii” („on the right side of history on this”). Z kolei w wywiadzie prasowym amerykański gość przekonywał: „Nie możemy po prostu zatrzaskać drzwi przed bliźnimi, którzy potrzebują pomocy”. I dalej: inna decyzja byłaby „zdradą naszych wartości”. To było niewątpliwie szczere uznanie i wsparcie dla kanclerz Merkel w trudnym dla niej momencie.

Nie można też zignorować znaczenia tych słów, mimo że wypowiada je przywódca państwa, które nie znalazło się pod taką presją napływu uchodźców i emigrantów, jak kraje europejskie. Trzeba jednak wziąć pod uwagę nadal dużą popularność Obamy w Niemczech - według sondażu aż 62 proc. Niemców żałuje, że nie może on pozostać w Białym Domu na trzecią kadencję (mimo że jest to spadek poparcia z 90 proc. u początku jego prezydentury). A więc dla wielu z nich obecny prezydent pozostał autorytetem, a przynajmniej cenionym liderem, którego słów się słucha.

Słów tych nie deprecjonuje także jasno określony cel, z jakim amerykański prezydent przyjechał do Niemiec, przywożąc ze sobą liczną grupę szefów najważniejszych amerykańskich firm oraz uczestnicząc w otwarciu targów przemysłowych. Fakt, że Obama właśnie z kanclerz Merkel omawiał problem transatlantyckiej strefy wolnego handlu (*Transatlantic Trade and Investment Partnership - TTIP*), był wielce znaczący. W sytuacji, gdy sceptycyzm wobec *TIPP* wyrażają politycy europejscy oraz europejska opinia publiczna - w samych Niemczech popiera ją tylko 39 proc. obywateli, a w dniu poprzedzającym przyjazd Obamy na ulice Hanoweru w proteście przeciwko umowie wyszło około 30 tys. ludzi; zresztą same negocjacje nad porozumieniem przebiegają w wielkim trudzie - zwrócenie się do kanclerz Merkel oznaczało, że Obama traktuje ją jako rzeczywistego lidera Europy, mającego moc sprawczą. Oto ów „jeden telefon do Europy”, o którym swego czasu mówił Henry Kissinger.

Wydaje się, że nawet spotkanie Obamy w gronie powiększonym o obecność prezydenta Francji, premierów Wielkiej Brytanii i Włoch, gdy to debatowano o najważniejszych problemach dzisiejszych dni, w tym wojnie domowej w Syrii i walce z „Państwem Islamskim”, nie zmieniło wrażenia o szczególnej roli kanclerz Merkel na arenie europejskiej. Jest ona dla prezydenta Obamy cennym partnerem w dyskusji i decyzjach odnoszących się czy to do problemów politycznych, w tym relacji z Rosją, czy kwestii gospodarczych.

Dlatego to z Niemiec wyszło niezwykle ważne przesłanie prezydenta Stanów Zjednoczonych o Europie, stosunkach transatlantyckich, wspólnocie wartości i groźnych

wyzwaniach. Niewątpliwie, także administracja amerykańska uznała, że Unia Europejska przechodzi bardzo poważny kryzys. Swoje wystąpienie Obama rozpoczął od słów: „Przybyłem do serca Europy, aby powiedzieć, że cały świat potrzebuje silnej, rozwijającej się, demokratycznej i zjednoczonej Europy”. Trudno zaprzeczyć stwierdzeniu, że wcześniej prezydent Obama z takim zaangażowaniem i w takim stylu o Unii Europejskiej, jej problemach i sposobie ich rozwiązywania się nie wypowiadał. A przynajmniej nie z taką siłą: „Perhaps you need an outsider, somebody who is not European, to remind you of the magnitude of what you have achieved from the ruins of the second world war”.

Słowa Obamy były ważne, bo padły w bardzo trudnym dla wspólnoty europejskiej momencie, gdy jest tak wiele sceptycyzmu co do sensu integracji. I w sytuacji, gdy tak wielu mieszkańców Unii Europejskiej nie zna innej rzeczywistości niż ta wspólnotowa i trudno jest jej sobie wyobrazić zgubne konsekwencje Europy zdeintegrowanej. Tymczasem amerykański prezydent przypomniał o dewastujących Europę w ubiegłym stuleciu skutkach rywalizacji, nietolerancji i skrajnego nacjonalizmu. Apelowal o wysiłek integracyjny, scalający różne grupy etniczne i wyznaniowe, w tym muzułmanów. Przestrzegając przed wzajemnym separowaniem się („Don't turn inward”), przed rosnącym w siłę populizmem i pogłębiającym się zwątpieniem, podkreślał, że „silna i zjednoczona Europa jest ważna dla porządku światowego”, że bez mocno zespolonej Unii Europejskiej jej amerykański partner nie rozwiąże problemów globalnych.

Ten niezwykle mocny apel o utrzymanie silnej Europy, sugestywnie brzmiący w ustach amerykańskiego prezydenta, nadal popularnego w Europie, stanowi jeden z jego pożegnalnych aktów. I to - choćbyśmy nie chcieli - jakoś osłabia wydzwięk i skuteczność tego przesłania. Niemniej jednak - chociaż brzmi to patetycznie - prezydent Obama, angażując się po stronie Europy i jej problemów w tak ważnym dla Starego Świata momencie, również stanął po właściwej stronie historii. Natomiast od obywateli Wielkiej Brytanii, Niemiec, od całej Europy wreszcie zależy, czy to przesłanie zostanie wzięte poważnie pod uwagę. Bo za Europejczyków amerykański prezydent problemów nie rozwiąże. Zwłaszcza gdy w styczniu przyszłego roku wprowadzi się do Białego Domu nowy gospodarz, a przy tym - być może - najmniej przez społeczność międzynarodową oczekiwany.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i Collegium Da Vinci w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.